

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok VII numer 9

Niedziela, 4 III 1956

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

ŻYWIOT WALKI Z CIERPIENIEM I O LEPSZEGO CZŁOWIEKA

W drugą
rocznicę śmierci
wielkiego
uczonego

„Dla nas, lekarzy, miernik najwyższy i najtrudniejszy do urzeczywistnienia: zmniejszyć ilość ludzkiego cierpienia.”

„Nauka może uczynić człowieka lepszym — jest i drugie zadanie profesora: pedagog szuka młodej duszy, którą modeluje, w oporze poznaje się młode orle, szukające dróg własnych i własnego lotu. Poza pracą naukową najlepsze chwile spędzałem z młodzieżą. Czułem się wówczas jak ogrodnik, co chodzi po kwiatnym ogrodzie dusz ludzkich, tu podeprze kwiat, tam chwast jakiś wyrwie, gdy zaś widzi jakąś piękną odmianę, otacza ją specjalną opieką i czułością.” (Ludwik Hirsztfeld)

Jeden ze starożytnych poetów, obrachowując się sam ze swoją twórczością, kończy piękny utwór okrzykiem: „Non omnis moriar!” — „Nie umrę wszystek”. Brzmi w nim pragnienie trwania poza śmiercią i ocalenia swej najlepszej części ki we wdzięcznej pamięci potomnych wbrew bezlitosnemu działaniu czasu. Wielki uczoney i wspaniały Człowiek, jakim był Ludwik Hirsztfeld, pojmował swą działalność „jako wyprawę po młode dusze”. Powracał z tych „wypraw” opromieniony jako zdobywca zachwytem i miłością uczniów. Na kartach historii medycyny, jako najlepszy dotąd na świecie znawca swej specjalności, również nigdy „nie umrze wszystek”. Zbliżając się do kresu swych sił twórczych, spisał „Dzieje jednego życia”, w których zawarł z żarliwością i wiarą w człowieka niejako testament dla nauk medycznych i dla młodych a szlachetnych „orląt”, które oddadzą się najpiękniejszej walce — z ludzkim cierpieniem.

Prof. dr Ludwik Hirsztfeld urodził się 5 sierpnia 1884 roku w Warszawie. Po studiach w Würzburgu i Berlinie uzyskał stopień doktora nauk medycznych „z najwyższym odznaczeniem”. Był to rok 1907, młody doktor liczył za ledwie 23 lata. Wymagający i surowy jego profesor Rubner nie zważał się jednak wystawić mu świetnej noty. Przewidywał w młodym uczonym genialnego badacza. Od 1907 do 1911 Ludwik Hirsztfeld był asystentem w Instytucie Badania Raką w Heidelbergu. Ogarnia go pasja pracy. Nowotwory, własności i skład krwi zostają omówione w 21 rozprawach naukowych. W latach 1911 do 1915 widzimy uczonego w Zurichu w Szwajcarii. To pięcioletnie przynosi nowych 26 rozpraw naukowych o odporności ustroju, krzepliwość krwi i chorobach wola. Jako człowiek 30-letni staje się już powagą w świecie lekarskim. W latach pierwszej wojny światowej od 1915 do 1919 r. uczoney opuszcza zacisze naukowej pracowni i ochotniczo zgłasza się na frontach Serbii do walki z epidemią szalejącego duru i malarii. Tu, wśród strasznego, bezpośredniego niebezpieczeństwa, zajął się w pełni poświęcenie praw dziwego lekarza. Ponad salwami działań i interesami krwiozerczego imperializmu zostały dostrzeżone w rowach strzeleckich tysiące nie-szczęśliwych, prostych żołnierzy, dziesiątkowanych przez zarazy. To on, lekarz i człowiek, dojrzał w nich ludzi, którzy odejść musieli od rodzin i domów na rozkaz sztabów imperializmu Zarazy nie zwalczyli się dobrą słowem, ani zaklęciem. Hirsztfeld odkrywa zaręzek duru C, czyli paratyfusu, posuwa naprzód badania nad malarią. Powiadamia o odkryciu do-wództwa alianckie. Wszystkie szczyptki do końca wojny wykonywane są „szczępionką Hirsztfelda”. Tak nazwali ją nazwiskiem polskiego uczonego lekarza angielscy. Zaraza zostaje opanowana i wygasa zupełnie. Dzieje tej walki to temat do porywającej opowieści. Hirsztfeld wspomina z wdzięcznością swych „pomocników”, zupełnie prostych żołnierzy, którzy w połowym baraku bez podłogi przy świetle karbidówek pomagali mu w bezsenne noce przy hodowli zbawieniych szczepionek. Serbski order „Świętego Sawy” zawiązał na piersiach Hirsztfelda. Sprawdził się zapowiedź jego profesorów, że

ZESPÓŁ „WARSZAWA” TAŃCZY I ŚPIEWA...



Walc „A w Warszawie na ulicy”.

CAF — fot. Zygm. Wdowiński

Nad „Głosem Wielkopolskim” Czytelnicy nasi spędzają wiele chwil swojego życia. Jedne z nich — kiedy nam się artykuł, reportaż czy felieton uda — są ciekawe i przyjemne. Inne — kiedy zwiędzie oko i pióro autora — mniej przyjemne i ciekawe, żeby nie powiedzieć... nudne. Nasze sukcesy w pracy dziennikarskiej cieszą naszych przyjaciół — nasze błędy razią. „Generalne pranie” odbyło się niedawno w postaci ankiety pt. — „Tak czy inaczej”, w której wypowiedziało się aż 10 proc. naszych Czytelników. Dużo głosów było tak, ale nie mniej głosów — często bardzo ciekawych — było i na cześć. Niezmiernie interesujący plan tej szczerzej, zbiorowej rozmowy z Czytelnikami przedstawimy Wam już w następnym numerze dodatku „Nowy Świat”.

Fot. — K. Przychodzki

Zygmunt Jabłkowski

W POCZEKALNI

Z notatnika dziennikarza

Który to już z rzędu raz w ciągu minionych dziesięciu lat siedziałem na twardej, stylizowanej ławie w tej poczekalni. Może dziesiąty? Dziennikarz nie potrafi obyć się bez kontaktu z tą instytucją, której nie jeden rok, to pewnie. Więc siedziałem. Ciepło, pokój duży, umeblowany stylowo, plusz na posadzce. Pod oknem biurko, przy nim młoda dziewczyna w czerwonym swetrze — sekretarka. To ona kazała mi czekać. „Przewodniczącego nie ma — powiedziała — może niedługo przyjdzie, a czy on pana zamówił?” Kiedy usłyszała, że tak — pokręciła lekko głową bez zbytniego przejęcia, ale jakby z odrobiną niezadowolenia — nie wiedziałam co to miało znaczyć. Zresztą ów przelotny cień niechęci znikł bardzo szybko z jej twarzy, która aż kipiała zwycięską młodocia.

Czy widzieliście kiedy biedaka, który pierwszy raz jedzie samochodem? Śmieje się do siebie i do mijających ludzi z zadowolenia, które jest silniejsze od jego umiejętności panowania nad sobą. Dziewczyna była w tych latach, kiedy to świadomość, że się jest pożądaną — uderza do głowy niby szampan. Niesposób tego ukryć. Jej sweter, choć pretensjonalny, był lichy. Spódniczka nie mogła mieć więcej niż 30 procent welny — mówiły o tym liczne fałdy i zagniecenia. Ale szminka na ustach była ostra, czerń brwi i rzęs wyzywająca, a roziskrzony wzrok — ciekawość życia i świadomość jego pierwszych uciech, zaciepliwie i od-porność zarazem, wyzywająca skromność i nieśmiałość wyzwania — wszystko to widać było w jej spojrzeniu aż nazbyt wyraźnie.

Zaczynało mi być ciepło. Zdjąłem palto, choć nikt mnie do tego nie upoważnił i od razu czekanie stało się mniej przykre. Nabrałem nawet ochoty, aby przypatrzeć się pozostałym interesantom. Naprzeciw biurka, tuż przed sekretarką, siedziała kobieta w futrze, lat około 35, z dziewczynką może czterdziestoletnią. Podobieństwo rysów nie pozostawiało żadnej wątpliwości: to była matka i córka. Kobieta miała zmęczone oczy i siatkę zmarszczek wokół

nich. Dziewczynka opuszczała skromnie powieki, była bardzo zażenowana, wstydziła się obcych spojrzeń. Za to jej matka rozglądała się chłodno i sceptycznie, bez cienia zażenowania, kontrolując oczami wszystkich zebranych. W jej wzroku były ostatnie ślady przebrzmiających radości i pierwsze — aktualnej goryczy.

Miałem przed sobą przedstawicielki trzech zasadniczych okresów kobiecości. Najmłodsza, która dopiero jej doznaje, wstydy się zmian fizjologicznych, jest nimi upokorzona i z przerażeniem myśli, że nikt nigdy w życiu nią się nie zainteresuje. Średnia, którą dawno już z tego fatalnego okresu wyrwało pierwsze pożądliwe spojrzenie męskie, żyje teraz w oświeconiu, jak łatwo i powabnie bieć może dzień za dniem wśród ustawicznych nadszkań i hołdów, jak szalenie młodość i uroda zasłonić mogą wszelkie braki natury. I najstarsza, dla

i pociągnęła za rękę podłotkę. Dziewczątka wychodziło, wzno-sząc się przy każdym kroku na palce. Mijając mnie przy drzwiach, obok których siedziałem, mała rzuciła mi jedno krótkie, bardzo króciutkie spojrzenie. Dziw, jak intensywne potrafią być spojrzenia kobiet — nawet tych czterdziestoletnich! — w jednym ułamkowym rzucie oka. Panna była już niewątpliwie bliska, niezmiernie bliska swego przełomu.

Zostaliśmy tedy we czworo. Sekretarka, kierownik Herbst, inspektor Stefański i ja. Herbst, ruchliwy i energiczny, wodził bystrzymi oczami po ścianach, jak gdyby tam szukał natchnienia dla swoich zafrasowanych myśli. Powolny i akuratywny Stefański, rozłożył papiery i korzystając z wolnej chwili studiował jedno z niezliczonych pism, które nosił ustawicznie w pękatej teczce.

Sekretarka rzuciła na mnie



Rys. L. Kapczyński

której ten czas już się skończył, pozostawiając tylko ciepło kilku wspomnień i gorycz mnożących się refleksji nad znikomością tego, tak wydawałoby się, wielkiego słowa — miłości.

Sekretarka zręcznie i z widocznym upodobaniem manipulowała guzikami i korbkami trzech aparatów telefonicznych na swoim biurku. Po wielu mniej lub więcej udanych połączeniach oznajmiła, ciągle z tą podskórą radością, która szczególnie drażni w takich okolicznościach:

— Przewodniczącego dziś nie będzie.

Kobieta w futrze nie byłaby kobietą, gdyby nie wyrzuciła z siebie kilku zupełnie niepotrzebnych pytań w rodzaju: „co się stało?”, „dlaczego?”, czy będzie jutro?” Sekretarkę pytania te nie wyprowadzały z równowagi. Przeciwnie, była jakby zadowolona, że może zademonstrować swoją wyższość, którą dawała jej praktyka.

— Nie wiem — mówiła, prze bierając palcami wśród papierów — nie wiem, proszę się dowiedzieć.

Nie tłumaczyła nieobecności chorobą, nie obiecywała, że jutro „pewnie już będzie”. Nie, na to stanowisko przewodniczącego było zbyt wysokie. Z przyjemnością celebrowała wtajemniczoną kapłankę, która zna cenę sanktuarium i pobożność wiernych.

Pani w futrze rzuciła jeszcze kilka zdań okolicznościowych dla spokoju własnego sumienia, aby się utwierdzić w przekonaniu, że niczego nie zaniedbała

zaciekawione spojrzenia, ale nie odzywała się ani słowem. Wiedziała już, że jestem z prasy. Dla niej znaczyło to tyle, że — trzeba taktownie. Więc milczała. Zresztą jest kierownik i inspektor — niech oni się martwią. Herbst istotnie wyglądał na coraz bardziej zmartwionego. Była dziesiąta, a mnie zamówiono na dziewiątą i... przyszedłem nad wyraz punktualnie. Zerknął na mnie raz i drugi, ale nie uspokoiło go to. W swojej wieloletniej karierze urzędniczej widział już dziennikarzy, którzy wyglądali jak seraficznie zadumane anioły dobroci, a potem pisali jak piekielne szatany — siarką i ogniem.

Herbst poderwał się.

— Musimy do niego zadzwonić, panno Basiu — rzekł zdejmując słuchawkę z aparatu.

— Ale pod jaki numer? — spytała panna Basia, zatrzepotawszy powiekami.

— Do domu oczywiście.

— Kiedy nie znam numeru, Herbst machnął ręką.

— Niech no pani da książkę telefoniczną.

— Nie mamy... — powiedziała cicho, jakby z wyrzutem.

Wiadomo, że kiedy Herbst postanowił działać, nie ma dla niego przeszkód. Zadzwonił pod „03”. Nie zgłaszał się, więc zadzwonił wewnętrznym aparatem do innego pokoju, gdzie pracował bliski przyjaciel przewodniczącego — Tadzik. Ale przyjaciel wyszedł, gdzieś na chwilę z pokoju. Wtedy połączył się z kadrą, gdzie usły-

szal, że przewodniczący kazał tydzień temu zmienić dawny numer i że nowego jeszcze nie mają zanotowanego. Wówczas raz jeszcze połączył się z Tadzikiem. Na próżno — Tadzika ciągle w pokoju nie było.

— Pewnie będziemy musieli przełożyć naszą konferencję na jutro — powiedział zrezygnowany.

Zaoponowałem.

— Czy nie możemy porozmawiać sami? Chodzi tylko...

Herbst energicznie zaprotestował.

— Sami? O nie! U nas wszystko idzie kolegiennie. Tylko kolegiennie! Nic w cztery oczy! Zresztą zaraz się skontaktuję z przewodniczącym. Jeżeli zamówił prasę, to na pewno przyjdzie. Może tylko zapomniał? Dziś po południu...

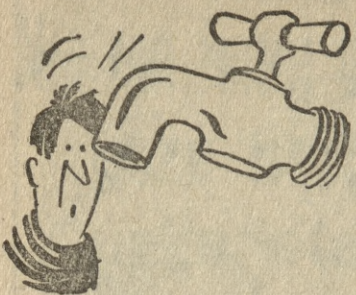
W tym momencie Stefański wznosił oczy z nad swoich papierów, spotkał się ze spojrzeniem panny Basi, po czym oboje przenieśli wzrok na Herbst. Ten wyraźnie czuł na sobie ich spojrzenia, ale patrzył bez przerwy na mnie. Miałem wrażenie, iż boi się spotkać z ich wzrokiem, zwłaszcza że ja spo-glądałem na tę scenę coraz ciekawiej. Uśmiechał się gęsto, kręcił głową i w ogóle wdzięczył się na różne sposoby.

Każdy doświadczony dziennikarz ma uzasadnione praktyką uprzedzenie do ludzi, którzy mu zbyt nadkaskują. Prawdziwa cnota krytyk się nie boi — jest skromna ale i świadoma swej wartości. Tak, ale czy to jest żelazna reguła? Z pewnością nie. Herbst, widać to było na pierwszy rzut oka, przeszedł niełatwą drogę, zanim stał się kierownikiem ważnej komórki w ważnej instytucji. Może pierwsza, długa część jego życia przeszła mu w poniżającej służbie pod jakimś zadufanym pankiem, który stopniem służalczości oceniał użyteczność i wartość swoich poddanych? Może Herbst głął, głął kark tak długo, że teraz trudno mu trzymać go prosto? Może jeszcze po wojnie przyszło mu pracować początkowo pod drakońskimi rządami jakiegoś małokalibrowego tyranka?

Przyglądam się twarzy Herbsty i czuję, że ogarnia mnie jakieś ciepło, idące od wewnątrz. To dobra twarz przyzwoitego człowieka. Szorstka, grubo ciosana, nieproporcjonalna. A spojrzenie? — takie spojrzenia hartują się tylko w ciężkim trudzie. Proste i otwarte, twarde i szczerze, bez blichtru i inteligenckiego „drugiego dna”, które przeważnie jest tylko dziurą w pierwszym dnie... Stanowczo podobał mi się ten Herbst. Tylko po co tak chce mnie utrzymać w dobrym mniemaniu?

Stefański wrócił do swoich akt. To człowiek o zupełnie innej powierzchowności. Powolny i uparty, jakby ospały. Pocho-dzi ze wsi, dojeżdża do Poznania do urzędu już piąty rok. Jest inspektorem, wystarczyłoby mu tylko kiwnąć palcem, a mieszkanie dostałby od razu — ale nie, on uważa, że są bardziej potrzebujący od niego.

No, panno Basiu — mówię żartobliwie, aby rozładować nieco atmosferę — prywatny (Dokończenie na str. 3)



przez kuchnię piętro wyżej przemaszerała kompania wojska.

— Jeszcze sprawdzają — powiedział Latacz Paweł — alez tu jest akustyka...

— Jak w ten tego, no...

— Filharmonii.

— Właśnie.

— Przyjdę jutro — mówił tymczasem Szymek — kurek za duży czy za mały?

— Mały!

Majster zlął z okna, wyjął notes i postępując się alfabetem łacińskim zapisał imię oraz nazwisko poszkodowanego obywatela.

Słońce odbijało się złociście w oknach nowego domu. Cegły były czerwonomarańcowe, niebo błękitne i zimne.

☆

Dni mijają.

Woda bez przerwy kapła. Jej monotonny chłupot o każdej porze dnia i nocy przyprowadził znowu Latacz Pawła, Latacz Genowefę, osobę wziętą i nerwową o jeszcze większym rozstroju psychicznym, jej męża zaś napełniał niepokojem o stan swego serca, któremu, kto wie, może grozi już zawał. W nocy nie mogli spać, zatykali sobie uszy watą, nakrywali głowy poduszkami, to znowu usiłowali wywołać senność wypróbowanym i legalnym sposobem małżeńskim; zapisali się nawet do publicznej biblioteki, wieczorami czytali książki. Daremnie jednak, sen nie nadchodził. Tabletki, owszem, z początku pomagały, potem się do nich przyzwyczaili i już nie pomagały. Nawet nocujący w kuchence przyjaciel domu, czarny kot, cierpiał na bezsenność. Dostawał drgawek i miaucząc, z zadartym ogonkiem biegał dookoła kuchni. Uwiązano pod otworem kurka szmatkę, ale cóż, w krótkim czasie nasiąkała woda, która znowu zaczynała kapnąć, złośliwie emalowane dno zlewni.

Dni mijają. Kiedyś Latacz Paweł zobaczył majstra na drugiej stronie ulicy, szedł razem z inżynierem budowlanego przedsiębiorstwa, rozmawiał z sobą, bo usta mieli otwarte, w ruchu jak bohaterowie niemego filmu. Latacz Paweł nosił się właśnie z zamiarem przejścia przez jezdnię, gdy wtem rozdzielił go od majstra i inżyniera tramwaj z dwoma przyczepkami, sunący wolno środkiem ulicy. Gdy tramwaj przejechał, Latacz stwierdził, że zainteresowane osoby zniknęły w tłumie przechodniów. Potem jeszcze kilka razy zachodził do biura przedsiębiorstwa budowlanego, ale ich nie zastał.

Wreszcie po kilku miesiącach dał spokój, przestał się problemem kranu interesować, zwłaszcza że niepostrzeżenie, zwolna, do muzyki kropel przyzwyczał się, nie zwracał na nią uwagi ani on, ani żona, nawet kot układał się do snu w sąsiedztwie zlewni.

Pewnego niedzielnego popołudnia, gdy siedział w kuchence przy herbacie, a kot zwinął się w kłębuszek usypiał przy muzyce kropel, rozległ się dzwonek u wejścia.

W drzwiach stał pomocnik majstra.

— Przyniosłem dobry kurek — obwieścił. Trzymał go w ręku.

— Kuuuurek! — zawołał małżonkowie, oczom nie wierząc.

Pomocnik instalatora zabrał się do odkręcania starego kurka, przy mierzył nowy.

— Jak ułat — rzekł.

Woda przestała kapnąć.

Małżonkowie uściskali się z radością. Za oknami świeciło słońce. Drzewa były zielone, jak to na wiosnę.

— Niechże pana ozłocę — powiedział Latacz Paweł do niezwykłego gościa. — To tak panu, panie Szymek, na sucho nie ujdzie!

— Daj no coś przekąsić — powiedział do żony.

Zjedli, potem zagrall w trójkę w durnia. Szymek został u nich na kolacji. Gdy pomocnik majstra wyszedł, Latacz Paweł rzekł:

— Żeby wszyscy byli jak ten Szymek, słowo daję. Psiakreć człowiek uczciwy, uświadomiony.

Zona kiwała głową.

— Podam ten fakt do gazety — powiedział Latacz Paweł — niech się wszyscy dowiedzą.

— Niech się dowiedzą — powtórzyła żona.

Tymczasem kot nie słyszał kapania i obudził się. Obrzuć zły spojrzemieniem dwoje ludzi. Parsknął i zadarłszy ogon hycnął na stół.

— Czemu kizia taka niespokojna? — spytała Latacz Genowefa. — Może ją brzuszec boli — dodała tkliwie.

— Nie wiem, może... — powiedział Latacz Paweł.

Pomocnik majstra wracał do domu w świetnym humorze. Nawet sobie podśpiewywał. Mijał kilka ulic, wszedł w tramwaj. Wyskoczył w biegu przed ciemnym masywem nowych bloków. Mieszkali tu od wczoraj. Żona jeszcze nie spała.

— Masz? — spytała trwóźnie.

— Mam.

Z kucharki dochodził ustawiczny plusk wody, jakby ktoś tam odkry-

cił kran. Kurek był widocznie za duży i nie mógł być wkręcony tam, gdzie trzeba. Kran obwiązali jakimś gaiganami i drutami. Teraz pochylił się oboje nad zlewem i po kilku minutach westchnęli z ulgą. Kurek urzędnika Pawła Latacza nadawał się.

Woda przestała kapnąć.

Małżonkowie uściskali się serdecznie.

Co dziwnego jednak, że tego wieczora nie mogli zasnąć ani urzędnik Latacz Paweł, ani jego żona Latacz Genowefa, nawet przy jacieł domu, czarny kot, nie spał i mrucząc gniewnie wyłuskiwał sobie pchły z sierści. Wszyscy troje czuli się jacyś osamotnieni, nie-swojo, czegoś im brakowało.

Kot skończywszy wieczorną toaletę krążył nerwowo po ciemnej kuchence, przyswiewał sobie zielony, jakby nąfoszoryzowanym oczami, to znowu ostrzył pazurki na drewnianej nodze od stołu.

Latacz Paweł i jego żona usiłowali wywołać senność wypróbowanym i legalnym sposobem małżeńskim, potem czytali książki, wypożyczone w miejskiej bibliotece imienia hrabiego Raczyńskiego. Tabletki jak na złość w domowej apteczce nie mieli. Daremnie jednak, sen nie nadchodził. Na szczęście, około północy rozległ się chłupot deszczu, rozpoczynającego swój jednostajny werbel na blasze parapetu.

Wtedy dopiero wszyscy jak na komendę zasnęli.

Następnego dnia było pogodnie, a wieczorem na czyste, gwiazdzone niebo wypłynął majestatycznie okrągły, jak jabłko, księżyc.

Latacz Paweł porozumiał się z żoną, która oczywiście zgodziła się na jego propozycję w sprawie kranu. W pidzanie i nocnych panto-fach udał się do kuchni i odkręcił nieznacznie kurek. Natychmiast wielkie, przezrocyste kropki wody zaczęły równomiernie uderzać o połyskliwe dno zlewni. Co to była za cudna muzyka!

— No, ale że mnie majster — pomyślał chętnie Latacz Paweł, który nie był wcale podobny do morsa.

Kot miauknął dziękczynnie, ocierając się futerkiem o nogawkę podłamy.

Za chwilę wszyscy jak na komendę zasnęli.



ZASZCZYTNE MIEJSCE KSIĄŻKI

Są pewne prawdy, które stały się tak oczywiste, że zapracowały już niemal o banał. A mimo to narzucają się z taką siłą, że trzeba do nich — chcąc nie chcąc — wciąż powracać. Na przykład — znaczenie książki. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że nie będzie postępu, nie wychowamy nowego człowieka, dopóki książka nie stanie się chlebem powszednim w domu robotnika i chłopca. Wychowywanie nowego człowieka nie jest procesem samoczynnym. I nie ma do niego lepszej drogi — niż przez książkę.

Kiedy mowa o książce, to, rzecz jasna, nasuwa się myśl o bibliotekach i o bibliotekarzach, którym przypada czyn na rolę w procesie narastania naszej rewolucji kulturalnej. Biblioteka stała się placówką nie tylko kulturalną ale i oświatową, a bibliotekarz — działaczem, bardzo często wychowawcą, człowiekiem, który ma do spełnienia ważną misję kulturalną.

Dokumentem wielkiego znaczenia książki w naszej epoce, dokumentem roli bibliotekarzy i jego społecznej funkcji — był niedawny Ogólnopolski Zjazd Bibliotekarzy w Warszawie. Celem Zjazdu było nie tylko podsumowanie osiągnięć w dziedzinie udostępnienia książki i upowszechnienia czytelnictwa, lecz także ujawnienie błędów i trudności, krytyczne ich oświetlenie oraz wskazanie konkretnych wniosków, które ułatwią przeciętne czytelnictwo.

Nie ulega wątpliwości — i na Zjeździe zostało to mocno podkreślone — że osiągnięcia nasze w dziedzinie czytelnictwa są bardzo duże. Zorganizowano szeroką sieć księgarni, bibliotek i punktów kolportażu książek i prasy. Książka stała się dostępna nawet w najodleglejszych osiedlach. Niezwykłe szeroko rozwinięte szkolnictwo stało się fundamentem demokratyzacji oświaty i kultury, sprawiło, że tysiące rąk młodzieży robotniczej i wiejskiej sięgnęło po książkę. Ogromnie wzrosła produkcja wydawnicza. Globalna produkcja w okresie 11 lat jest prawie dwukrotnie wyższa niż produkcja dwudziestolecia międzywojennego. Miliony ludzi, którzy dotychczas nie byli przyzwyczajeni do słowa drukowanego, czytają prasę, od

której już tylko krok jest do książki, do biblioteki. Czytelnictwo biblioteczne — w oparciu o biblioteki szkolne, naukowe, powszechne i związkowe — objęło łącznie ponad 7 milionów czytelników. Księgozbiory nasze oczyszczone zostały z literatury szkodliwej i bezwartościowej — co ma zasadnicze znaczenie.

Nie znaczy to, że wszystko jest wspaniałe, piękne, że w bibliotekach dzieje się jak najlepiej, że bibliotekarze nie mają nic nam, ani my im, do zarzucenia. Jak już była mowa — Zjazd wykazał, że są błędy, że są braki. Celem jego m. in. było te błędy i braki usunąć.

W pierwszych latach władzy ludowej praca nad organizowaniem bibliotek przebiegała żywiołowo, bibliotekarzami zostawali ludzie bez fachowego wykształcenia, co jednak w ostatnich latach już się nieco poprawiło. Dobór książek w tych bibliotekach był niewłaściwy. Były one przeciętne literatury typu „brozurkowego” oraz zbyt trudna publicystyka i literatura polityczna, która — co tu dużo mówić — nie znajdowała odbiorcy. Rażąco był brak literatury dziecięcej i młodzieżowej, fantastyczno-naukowej i podróżniczej, brak było literatury historycznej i popularno-naukowej. Poważnym błędem było nieprzystosowanie literatury światopoglądowej do poziomu umysłowego robotnika i chłopca. Pamiętajmy przecież, że przede wszystkim szło o pozyskanie dla czytelnictwa tego właśnie czytelnika. Inteligencja na ogół sama sobie radzi. Nie trzeba jej do książki namawiać. Biblioteki były upośledzone pod względem lokalnym. Bibliotekarze byli krzywdzeni zbyt niskim uposażeniem. Dopiero w r. 1952 dokonano reformy ich plac. Rzecz jasna, że powodowało to płynność kadr, a przede wszystkim ucieczkę z tego zawodu co zdolniejszych jednostek. Efekt był taki, że wśród bibliotekarzy byli ludzie nieprzygotowani do swego zawodu, co miało dalsze, bardzo złe konsekwencje.

Na Zjeździe, między innymi, omawiana była sprawa kursów czytelnicych. Jedni byli za, drudzy — przeciwni. Na ogół przeważał pogląd, że kursy należy utrzymać, ale bez

dotychczasowej kampanijności, bez nadmiernego zbiorokratyzowania. Uczestnicy Zjazdu zgodzili się, że wskazany jest raczej scentralizowany zakup książek, a tylko pewien nieduży procent funduszy powinien być oddany do dyspozycji poszczególnych bibliotek. Bardzo szeroko omawiane były na Zjeździe sprawy organizacyjne, szkoleniowe, przytoczono wiele cyfr. Trudno jednak w niedużym z konieczności artykule wyczerpać bogatą i różnorodną tematykę, związaną z czytelnictwem, książką, bibliotekami i bibliotekarzami. W każdym razie wnioski i uchwały, które zapadły na Zjeździe, dają gwarancję, że dotychczasowe błędy zostaną usunięte, że książka, biblioteka i bibliotekarz zajmą należne im zaszczytne miejsce w naszej rzeczywistości.

ST. ORZEŁOWSKA

Od komórki — do niemowlęcia

W jaki sposób powstaje z jednej zapłodnionej komórki — skomplikowany, z miliardów komórek złożony, sprawnie funkcjonujący organizm zwierzęcy? Jaka droga prowadzi od komórki jajowej do niemowlęcia ludzkiego? Co decyduje o tym, czy rozwój ten przebiega prawidłowo, czy też ulega odchyleniu, prowadzącym nieraz do potworności? Oto pytania, na które szeroko, w sposób popularnonaukowy — bez spływania jednak zagadnienia — odpowiada nowa książka Wiedzy Powszechnej pt. „Od komórki do niemowlęcia” — pióra prof. Stanisława Skowrona.

Zagadnienia, o których pisze prof. Skowron, są bardzo skomplikowane, związane z rozległym wachlarzem mniej lub więcej ubocznych problemów, są to zagadnienia, wokół których w ciągu wieków narosła góra zabobonów i... przemilczania. Książka prof. Skowrona prosiuje, zwraca na właściwą drogę błędne mniemania, daje prawidłowy, materialistyczny pogląd na świat.

Jak z tytułu wynika, głównym zamierzeniem autora jest pokazać drogę rozwoju, jaką prowadzi od komórki do niemowlęcia. Ażeby jednak czytelnikowi przedstawić dzieje zarodka ludzkiego, autor prawie połowę książki poświęca zwierzętom — stulbiom, pszczołom, żabom i ptakom. „Uznając w całej pełni odrębność człowieka — powiada — którą zdobył w swej ewolucji dzięki pracy, co z kolei wpłynęło na rozwój jego mózgu, nie możemy nigdy zapominać o jego rodowej łączności z resztą żywego świata”.

Po omówieniu rozwoju zwierząt — autor podaje obraz rozwoju zarodka ludzkiego, pokazuje kolejne etapy procesu kształtowania się noworodka z zapłodnionej komórki jajowej, następnie zapoznaje czytelnika z rozwojem pewnych narządów i ich układów — a więc systemu nerwowego, skóry, systemu szkieletowego, gruczołu tarczowego, przysadki mózgowej.

Bardzo ciekawe — zwłaszcza z „życiowego” punktu widzenia — są dwa rozdziały o wadach rozwojowych i o bliźniętach: o rozmaitych przyczynach powstawania wad rozwojowych, o ich związku z środowiskiem zarodkowym, o różnych kategoriach bliźniąt.

Biologia, a więc i embriologia, to nauki, które nie powiadały jeszcze ostatniego słowa, nie mogą więc dać wyczerpującej odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. Jedno jest pewne — i o tym książka Skowrona mówi na każdej niemal stronie — że wszystko się rozwija, że nie nie stoi w miejscu — co jest jedną z podstawowych zasad materialistycznego, a więc prawdziwie naukowego poglądu na świat.

Prof. Skowron w książce swej przedstawił ogromną rozmaitość różnych form rozrodu i rozwoju zarodkowego, podał ogólne prawa rządzące tymi zjawiskami — dając równocześnie szeroko potraktowany materiał historyczny z szczególnym uwzględnieniem współczesnej wiedzy biologicznej. Nie odstępując ani na jotę od ścisłości naukowych założeń — zrobił to jednak w sposób dostatecznie popularny, by książka zainteresowała szerokie kręgi czytelników. I z pewnością zainteresuje. Otrzymujemy jeszcze jedno cenne wydawnictwo, które posłuży walce o postępowy, naukowy światopogląd.

St. O.

*) Stanisław Skowron, „Od komórki do niemowlęcia”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1955 r. str. 385, cena zł 17.—

Niewolnictwo w XX wieku?

Ożywione dyskusje, które toczyły się w początkach bieżącego roku na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, skierowały uwagę całego świata na pewne ponure zjawisko występujące zarówno na kontynencie afrykańskim jak i na Bliskim Wschodzie. Mowa tu o jednym z najciemniejszych rozdziałów współczesnej historii ludzkiej — o handlu niewolnikami. W agendach ONZ znajdują się całkiem pewne dane, z których wynika, że każdego roku tysiące młodych Afrykańczyków zaprzędanych jest w niewolę.

„Okrety wojenne układających się stron mają prawo zatrzymywania wszystkich podejrzanych statków na Morzu Czerwonym oraz na wodach Zatoki Perskiej w celu poddania ich rewizji i badaniu, czy na ich pokładzie nie znajdują się niewolnicy. Przewożenie niewolników winno być karane jako ciężkie przestępstwo i traktowane na równi z rozbójem morskim”.

Wcale nie średniowiecze

Ów przepis prawny wcale nie został wydobyty z jakiejś średniowiecznej bulli kościelnej, a jest najnowszym projektem konwencji opracowanej przez jedną z komisji rzeczoznawców działających przy ONZ i ma na celu ujęcie w ramy prawne wszelkiego działania skierowanego przeciwko niewolnictwu. Dodajmy, że wydział powołany dla tego zagadnienia obsadzony jest przez przedstawicieli dziesięciu krajów, w tym również ZSRR, Jugosławii, Egiptu, Wielkiej Brytanii oraz Francji.

W trakcie opracowywania konwencji napotkano na niezwykle curiousum, gdyż prze-

nano się, że w trzech państwach należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych kwitnie jeszcze nadal niewolnictwo. Państwami tymi są: Arabia Saudyjska, Jemen oraz Irak. W pozostałych natomiast krajach sąsiedzkich niewolnictwo ukrywa się pod takimi pięknymi nazwami, jak przysposobienie (adoptowanie), praca za dług, kupno żony, praca na jenną na roli itp. Owe wsteczne instytucje, oparte nierzadko na prawie kaduka, mają być — stosownie do brzmienia konwencji — zwolna usuwane z życia.

Polowanie na ludzi

Do głównych dostawców niewolników należy francuska Afryka Ekwatorialna, dalej Afryka Zachodnia oraz Kamerun. Wspomniane tereny, jak podają autorytatywne źródła francuskie, dostarczają corocznie wiele setek Murzynów, w tym kobiet i dzieci na targowiska Arabii Saudyjskiej i Jemenu.

Jedną z najwięcej operatywnych szajek łowców i handlarzy działa w pogranicznych terenach Tibesti (francuska Afryka Ekwatorialna). Tworzą ją byli żołnierze afrykańskiego korpusu Rommla. Bądźta ta, zorganizowana na modłę wojskową, zdyscyplinowana i nieuchwytna, dowodzona jest przez b. żołdaka hitlerowskiego, niejakiego Karla Dieterle. O je go przebiegłości i operatywności świadczy fakt, że Dieterle dysponuje transportem samochodowym pochodzącym z ostatniej wojny. Przyczajony w niedostępnych i pustynnych kryjówek Tibesti okrutny łowca ludzi urządził stąd dalekie zagony, przewożąc następnie „czarną kość słoniową” poprzez

Pustynię Nubijską do Nilu, a stąd ku afrykańskim brzegom Morza Czerwonego.

Półtora miliona niewolników

Dieterle wyspecjalizował się w chwytaniu i sprzedaży dziecąt murzyńskich, w wieku od 8 do 13 lat, które, zanim znajdują się poza murami haremów bądź w namiocie jakiegoś szejka, przejeżdżają muszka szkołę dla niewolnic w mieście Dżidda (Arabia Saudyjska). Wyrafinowana mafia posiada bez mała monopol na tego rodzaju proceder ustalając nawet swoje stałe ceny. Tak na przykład młody Murzyn kosztuje w sprzedaży 150 tysięcy franków, podczas gdy dziewczyna murzyńska do lat 15 osiąga cenę 400 tysięcy franków. Na podstawie dość ostrożnych, a przytem wiarogodnych danych obliczono, że na terenie Arabii Saudyjskiej oraz Jemenu znajduje się w tej chwili okragle 1,5 miliona niewolników.

☆

Dawna konwencja dotycząca zwalczania handlu niewolnikami i opracowana w roku 1926 pod auspicjami Ligi Narodów nie zdała swego życiowego egzaminu. Kryteria ONZ określające istotę niewolnictwa zostały wyraźnie sprecyzowane, a rygory zastrzeżone. Należy żywić nadzieję, że wkrótce będzie rozpoczęta poważna akcja międzynarodowa dla kompletnego zlikwidowania niewolnictwa XX wieku — oraz że każdemu człowiekowi bez względu na kolor skóry zagwarantowane zostaną prawa do godności ludzkiej według zasad ujętych w Karcie Narodów Zjednoczonych.

M. J.

Z Kopenhagi donoszą, że został pobity rekord wielkości jaj kurzego. Dotychczas największe jajko ważyło 135 gramów a zniosła je pewna kura grecka. Ostatnio jedna z kwok duńskich „wyprodukowała“ jajko o wadze 155 gramów. Która następna?

A gdzie o miłości?

Prof. amerykański M. Bryan, wykładowca na uniwersytecie w Baltimore, doszedł po długoletnich i wnikliwych studiach do przekonania, że w chwili podziału dochodzi do wymiany między partnerami następujących składników: 9 miligramów wody, 0,7 miligrama albuminy, 0,18 miligrama składników gruczołowych, 0,71 miligrama tłuszczu, 0,45 miligrama soli oraz 250 kolonii bakterii.

Czarna magia

Znany paryski iluzjonista Henry Dubois został skazany na skutek niedozwolonych manipulacji na dwa tygodnie więzienia. Mianowicie, gdy pewnego dnia odwiedził go komornik, aby obłożyć aresztem ruchomości, Dubois „wyczarował“ mu z kieszeni nakaz egzekucyjny. Funkcjonariusz zmuszony był odejść z niczym.

Dopróbowali się..

Sąd grodzki w Valparaiso (Chile) sędził ostatnio sprawę, w której sporną była kwestia smaku i wartości pewnego gatunku wina. Rozprawa została niebawem odroczone, gdyż kolegium sędziowskie tak długo próbowało wino, aż w końcu straciło rozeznanie i możliwość ferowania wyroku.

Coś bardzo nowoczesnego!

Taniec towarzyski — sportem

M mało kto wie u nas, że nowoczesny taniec towarzyski jest dziś coraz częściej uznawany za sport, i w tych krajach, gdzie osiągnął on już wysoki poziom, należy do państwowych związków sportowych, jako jedna z jego sekcji.

Stało się tak dzięki dokładnemu sprecyzowaniu formy pięciu tzw. standardów zwanych taniec, mianowicie tanga, slowfoxtrotta, fox-trotta, walca angielskiego i walca wiedeńskiego. Tańce te tworzą stały program turniejów o mistrzostwa krajowe, międzypaństwowe lub nawet o mistrzostwo w skali europejskiej. Ostatnio w ekskluzywną tę rodzinę taniec towarzyski wkracza coraz śmielej rumba, która standardyzację swoich form zawdzięcza głównie pedagogom francuskim. — Temperamentowi Francuzów bardziej odpowiada niespokojne formy i rytmy taniec środkowo- i południowo- amerykańskich, takich jak rumba, samba, mambo, lub ostatni taniec „cha-cha-cha“ („cze-cze-cze“) — taniec, przypominający rytm pociągu. Cennym źródłem informacyjnym są pod tym względem miesięczne biuletyny, redagowane dla specjalistów, takie, jak wydawany n.p. przez prof. L. Davida „Bulletin D'Information des Danses Latines — Americaines“, przyczytujący się bardzo do zrozumienia skomplikowanych rytmów i ustaleń chaotycznych nieraz form taniec o egzotycznych nazwach.

Dla zainteresowanych — krótko jeszcze o międzynarodowych turniejach, odbywanych tak często we Francji, Anglii, Niemczech zachodnich, Finlandii, Szwecji, Norwegii i innych krajach europejskich.

Otóż turnieje te, urządza nie zwykle w najbardziej atrakcyjnych i eleganckich miejscowościach, pod protektorem władz i oficjalnych osobistości, gromadzą przedstawicieli wielu klubów tańca towarzyskiego

Zywoć walki z cierpieniem i — o lepszego człowieka

(Dokończenie ze str. 1)

kich“. Hirszteld jest jednym z pierwszych, którzy ożywiają Uniwersytet Wrocławski. Zostaje jego prorektorem. Jako dziekan Wydziału Lekarskiego i profesor mikrobiologii lekarskiej dwoi się i troi, porwijając swym zapalem młodzież. „Trzeba się spieszyć — wyznaje z humorem — kiedy się ma sześćdziesiąt lat...“ We Wrocławiu powstaje dalszych 100 rozpraw naukowych.

„Dzieje jednego życia“! Członkostwo honorowe wielu towarzystw lekarskich na całym świecie, honorowy doktorat uczelni w Pradze i Zurichu, nieprzerwana praca naukowa, dosięgająca z czasem liczby około 300 rozpraw naukowych, wielkie odkrycia, działalność społeczna, wychowawcza, walka w pierwszym szeregu bojowników o pokój, Krzyż komandorski Orderu Odrodzenia Polski i Nagroda Państwa I stopnia — to wyrazy uznania państwa dla uczoności.

Trudno tu w krótkim artykule zdać sprawę z wszystkich odkryć naukowych Ludwika Hirsztelda. Jedną z wybitnych specjalności uczoności była hematologia, czyli nauka o właściwościach i składnikach krwi. Zasiadł w niej jako największa powaga. „Czarodziej krwi“ — mawiali o nim wrocławscy studenci, otaczając postać ukończonego mistrza urokiem legendy. Stwierdzanie macierzystwa, badania krwi matek na obecność substancji, które mogłyby zagrozić nowemu życiu, badania nad doborem najważniejszych krwi do przetaczania jej innym. Już w obłęzionej Warszawie w 1939 r. pod gradem bomb uczony stosował przetaczanie krwi tym rannym, których tylko nowa krew mogła uratować. Zabieg ten, zbawiający, wymagał jednak wielkiej wiedzy lekarskiej, gdyż niewłaściwie zastosowany prowadzi do „wstrząsu“, wywołanego przez zlepianie się w grudki krwinek zawartych w krwi. Odgrywa przy tym rolę pewien czynnik zwany Rh.

W krwiobiegu nienarodzonego jeszcze dziecka, „przeciwciała“ powstałe wskutek wniknięcia czynnika Rh, mogą spowodować śmierć dziecka tuż po urodzeniu. Uratować można te dzieci przez wypuszczenie krwi ze szkodliwymi „przeciwciałami“ i przez przetoczenie im świeżej krwi bez czynnika Rh.

Na ścianach pracowni Hirsztelda można było oglądać fotografie dzieci, uratowanych tym sposobem przez uczoności. Inną wielką zasługą uczoności było wyjaśnienie, że bardzo częsta przyczyna poronień jest właśnie sprzeczność między krwią matki i dziecka. Sposób leczenia podany przez uczoności zapewnia matkom oczekiwanie się żywego potomstwa.

„Dzieje jednego życia“ miały być prowadzone do końca. Powalony już ciężką chorobą, uczony dyktował jeszcze sekretarzom dzieła naukowe, spieszył z radą i pomocą przyjaciół i ukochanej nade wszystko młodzieży. W niedzielę, 7 marca 1954 roku, o godzinie 3 rano zerwał się ze snu. „Wierzę, że ludzie będą jeszcze lepsi“ — powiedział do pielęgniarki, zapadając ponownie w sen. Były to jego ostatnie słowa. Po godzinie zerwał się, krzyknął i opadł na pościel. Zawał serca, które tak wiernie myślało o ludziach i zużyło się w walce z ich cierpieniem, powalił uczoności na zawsze ale nie w sercach ludzkich.

Cały Wrocław wyległ w dzień pogrzebu, by pożegnać „swego“ uczoności. Mistrza, który nie bał się swych uczniów, ale cieszył się, gdy go dorastali w pracy, żegnali uczniości, poważni już lekarze, żegnali zakończoną w nim młodzież uczelni Wrocławia. Za trumną szły myśli wdzięcznych tysięcy dorosłych, wyrwanych jego odkryciami bezlitosnym zarazem, tysiące dzieci wyrwanych niechybnej śmierci i przywróconych matkom. Trumnę uczoności żegnała cała nauka polska i cała cywilizowana ludzkość.

„W wypełnionej zawsze sali wykładowej — pisał uczeń i asystent Hirsztelda, dr Ryszard Kotelba — rozstając przed nami urok wiedzy bakteriologicznej. Obdarzony niezwykłą umiejętnością wykładania, wywoływał w nas podziw dla świata drobnoustrojów, przedstawianego z niezwykłą plastycznością. Absolutna cisza na sali wykładowej była podzięką oczarowanych słuchaczy. A w czasie przerwy dwugodzinnej wykładowca... otoczony grupą studentów kreślił dalej wspaniały obraz zmagającego się życia: makro- i mikroorganizmów. I przedłużaliśmy ten spacer, a

On... przedłużał następną godzinę wykładu, którego słuchaliśmy z zachwytem. Dyskusje naukowe... przeplatał wizjami nowych idei... zawsze podkreślając, że nauka może uczynić człowieka lepszym“. Młody, dwudziestokilkuletni zaledwie uczony wraz ze swym ówczesnym profesorem Dungernem wprowadził do światowej medycyny podział „grup krwi“ według składu jej krwinek, ale przez „dzieje jednego życia“ niósł niestrudzenie przede wszystkim sztandar walki z ludzkim cierpieniem, ten sam sztandar, któremu służył Pasteur.

Dr Włodzimierz Krzyżaniak



Prof. dr med. LUDWIK HIRSZTELD

W POCZEKALNI

(Ciąg dalszy ze str. 1)

telefon swojego szefa, to pani jako sekretarka powinna już znać!

Panna Basia przyjmuje tę uwagę niewyraźnym uśmiechem.

— Ona nie jest sekretarką przewodniczącego — wyjaśnia Stefański — zastępuje ją tylko przez kilka dni.

— A cóż tamtej? Pewnie grypa? — mówię, aby okazać się uprzejmym.

Znowu spojrzenia Stefańskiego i panny Basi spotykają się. Tym razem oczy inspektora lśnią jakimś kpiarskim blaskiem, a sekretarka patrzy niemal z przestachem.

— Taka tam i grypa! — dobroduszenie roześmiał się Herbst, a panna Basia szybko opuściła powieki i z niepotrzebnym pośpiechem zabrała się do pisania. Widzę drwiące spojrzenie Herbst'a i nagle coś mi się przypomina. Tak, szofer ich instytucji, znany zresztą plotkarz, mówił mi przed godziną, że kilka dni temu zawoził sekretarkę przewodniczącego do lekarza.

— Zachorowała nagle? — spytałem wówczas.

— A tak i dlatego kazał ją zawieźć do... ginekologa! — kierowca roześmiał się wieloznacznie, a mnie odeszła ochota do dalszej rozmowy.

Herbst zdołał wreszcie uzyskać połączenie z Tadeuszem — który mu podał najnowszy, aktualnie obowiązujący, prywatny numer przewodniczącego. Po chwili kierownik rozmawiał już ze swoim szefem.

— Kaziu, to ja... Musiałem, jest prasa... Przecież zamówiłem... Na dziś, na dzisiaj... Co? No właśnie, tak... Chyba tak... Nie wiem... No, więc, co robisz... Dobrze.

Mimo poufalej formy „ty“, Herbst zachowuje wszystkie odnośnie służbowej zależności. Wyczuwa się ją w głosie, w doborze słów.

Jeszcze o kukurydzy

Ziarno kukurydzy zawędrowało do nas przed czterema i pół wiekami z Ameryki. Przywiózł je z tej wyprawy Krzysztof Kolumb, zachwycony obfitością i wielkością ziaren tkwiących w kłosach tej dziwnej rośliny. W Europie bardzo szybko przekonano się o wartościach odżywczych kukurydzy i już w kilkadziesiąt lat po odkryciu Ameryki rozprzestrzeniła się ona w Hiszpanii, Włoszech, na Bałkanach i w Turcji.

Na początku XVII stulecia zaczęto ją uprawiać na południu Ukrainy i w Besarabii. Warto nadmienić, że jeszcze w 1952 r. uważano, że na północ od linii Łuck—Woroneż — Aktubińsk kukurydza nie może uzyskać pełnego rozwoju, a więc nie nadaje się do uprawy.

A dziś faktem jest, że najwyższy urodzaj masy zielonej z kukurydzy otrzymano nie na Ukrainie czy Kaukazie, a w jednym z archangielskich sowchozów — 1500 cetnarów z 1 hektara. Thumaczy się to tym, że na północy lato jest wprawdzie krótkie, ale za to dni są dłuższe. Liście kukurydzy wchłaniają tam promienie słoneczne nie przez 12 godzin, jak na południu, a przez 14—16 godzin. Ponadto na północy gleba zawiera więcej wilgoci.

I oto na dalekiej północy, za linią Koła Podbiegunowego, kukurydza zaczęła rosnąć jak w bajce. Uczeń wymierza li szybkość jej wzrostu. Na pięciorzecznej stacji doświadczalnej w Komi stwierdzono, że w ciągu jednego tylko dnia lodyga kukurydzy wzrasta o 5 cm, a w okolicach Archangielska nawet o 6,2 cm. Wysokość jej siewa do 4 metrów, a przeciętne zbiory masy silesowej — 400 do 500 cetnarów z hektara. Należy nadmienić, że z wartości odżywczych kukurydzy nie może się u nas równać żadna inna roślina. Obliczono, że przy sprzyjających warunkach kukurydza daje do 200 cetnarów doskonałego ziarna. Przy użyciu kukurydzy na karmę dla świń i kur, z każdego 100 kg ziarna otrzymuje się 20 kg słoniny, względnie 583 jaja, z każdego hektara można dodatkowo zebrać około 1000 cetnarów zielonej masy. Tej ilości wystarczy na wyżywienie w ciągu zimy nie wielkiego stada krów.

Wcale nie jest konieczne, aby w rejonach północnych kukurydza dawała ziarno o pełnej dojrzałości. Ziarno, które uzyskało dojrzałość mleczną lub mleczno-woskową, wcale nie jest gorsze — jeżeli chodzi o składniki odżywcze — od ziarna dojrzałego.

— Przewodniczący nie przyjdzie dzisiaj, chory — powiedział odkładając słuchawkę.

W tej chwili drzwi uchyliły się i zajrzała głowa kobiety w futrze. Gdzieś w okolicy jej łokcia widać było masy główek podlotka, ciekawie zerkając cego do środka poczekalni.

— Proszę pani, a może któryś z panów mógłby załatwić mnie w zastępstwie? Są przecież dostateczne powody...

Herbst nastroszył się oficjalnie.

— Poza kolejka ma prawo rozpatrywać wnioski tylko sam przewodniczący. Nie pani nie poradzi.

Kiedy kobieta zamknęła drzwi, wstałem.

— Jednak chciałbym porozmawiać z wami. Jak mówiłem chodzi tylko o kilka wyjaśnień, nawet nie do artykułu.

— Nie redaktorze — zaopiniowałem stanowczo Herbst — czy to byłoby ładnie decydować o czymkolwiek w jego nieobecności?

— Nie chodzi o żadne decyzje. Chodzi o wasze zdanie, o waszym zdaniu, właśnie o opinię kierownika, a nie jego przełożonego.

— U nas o wszystkim decyduje przewodniczący, nie jestem upoważniony.

Czułem, że wstępuje we mnie diabeł.

— No tak, nie w cztery oczy prawda? — rzuciłem ze złością i sarkazmem, wdziewając palto. — Wy przecież wszystkich kolegielnie, kolegielnie!

Stefański podniósł głowę znad akt, a panna Basia oderwała się od pisania i wszyscy troje patrzyli na mnie powiekami szonymi oczami. Nie spodziewałem się mojego wybuchu. Se kretarka miała w oczach tylko przestach, Herbst i Stefański patrzyli tak, że długo jeszcze schodząc z trzeciego piętra po schodach, a nawet na ulicy, widziałem ich dziwne twarze.

Jeszcze pięć lat temu napisałbym na temat tej szczególnej „kolegielności“ — satyrę. Nie na przewodniczącego. Felietonów na drobnokacyków było już dość, aby wszyscy podwładni mogli dostrzec w nich śmieszność. Dostrzegają napewno, tylko — boją się. I właśnie napisałbym satyrę na ich upokarzający strach.

Dziś — nie napiszę. Widzę ciągle ich twarze i gdzieś mi tam do śmiechu. Herbst i Stefański przepaszali mnie oczami za własną słabość. Ale w ich oczach była także isierka niewygasłego oczekiwania i rozbudzonej nadziei. Oczekiwanie na upragnioną chwilę, kiedy będą mogli w pełni być o powiedzialni za siebie i swoją pracę — czego się w skrytości nigdy nie wyrzekli. I nadziei, że ten moment jest już chyba bliski, skoro biczują ich słowami za brak odwagi. I była — widziałem to wyraźnie — niby prośba, niby wyrzut — jesteś od nas bardziej wykształcony, masz możliwość większego wpływu na bieg rzeczy, jesteś — a z tym inteligentem, który idzie z nami — więc nie drwij, ale nam pomóż, walcz o nas, przyspiesz ten czas, który zapowie dziano, a który odwiekają różni przewodniczący małego ducha...

To wszystko widziałem w ich spojrzeniu, na pewno.

Zygmunt JABŁKOWSKI

Starając się zorientować o przyczynach skarg Anglików na żołnierzy amerykańskich, rozkwatowanych na wyspach brytyjskich, amerykański dygnitarz wojskowy zapytał:

— Co, według pańskiego mniemania, nie podoba się Anglikom u naszych żołnierzy?

— Oni — odpowiedział Anglik — są zbyt swobodni i nadzy, zbyt seksualni, im za dużo płacą żołdu, i, co jest najgorsze, jest ich za wielu w Anglii.

We francuskim mieście Awinionie trwają przygotowania do „Pierwszego Kongresu Języka Łacińskiego“, który ma się odbyć w jesieni. Zaproszeni profesorowie z całego świata zajmą się przywróceniem łaciny należnego jej miejsca w rodzinie języków żywych.

24-letnia aktorka włoska Adriana Asti, grająca od dwóch miesięcy w jednym z medialskich teatrów rolę kobiety historycznej w sztuce amerykańskiego pisarza Millera, uległa szokowi nerwowemu. Lekarze stwierdzili, że dalsza gra artystki w tej roli zaprowadzi ją bezwzględnie do szpitala psychiatrycznego.

„Sherlock Holmes, 221 b. Baker Street, London, England“. Pod wskazanym adresem nadchodzi każdego tygodnia tuzin listów z całego świata, szczególnie od uczniów amerykańskich w wieku od 8 do 10 lat. Najdziwniejsze jednak w tym wszystkim, że niejaki John Greaves, amator literatury z profesji, odpowiada na wszystkie pytania, gwoździ wielkiemu zadowoleniu młodocianych detektywów, których liczba stale wzrasta.

Katastrofalny spadek widzów w kinach notują statystyki w Stanach Zjednoczonych. W roku 1944 odwiedzało kina co tydzień 88 milionów widzów, podczas gdy w r. 1955 tylko 49 milionów. Liczne sale kinowe postanowiły ograniczyć wyświetlanie filmów do trzech dni w tygodniu.

W tych dniach odbędzie się w Amsterdamie licytacja, podczas której sprzedana zostanie największa biblioteka masońska. Księgozbiór ten pochodzi z francuskiego zamku Le Brignon. Biblioteka obejmuje 1942 książki oraz 310 rękopisów, traktujących o historii, obyczajach oraz o kodeksach 16 woi nomularskich.

Dyrektor Instytutu Sztuk Pięknych w Pittsburghu (USA) podał do wiadomości, że zwinął jedną z naj lepszych swych modelek, ponieważ ta wzbraiała się podczas pozowania w instytucje zdejmować pantofelki. Gdy w jej sprawie zaczęły interweniować miejscowe osobistości, okazało się, że modelka należała do niezwykle upartych na punkcie swych pantofelek i powtarzała niezmienne: „Wszystko ma przecież swoje granice...!“.

Premier Indii — Nehru, będąc pod wrażeniem gigantycznych portretów prezydentów Stanów Zjednoczonych, wyrzeźbionych na zboczach gór, które widział w Ameryce, zaproponował obecnie — aby w związku z 2500 rocznicą urodzin Buddy, wyrzeźbić postać tego ostatniego na jednej ze skał, leżącej w pobliżu New Delhi.

Złota korona, dar włoskiego miast Viareggio otrzymała artystka filmowa — Gina Lollobrigida, podczas galowego wieczoru, wydanego przez władze municypalne. „Dla artystki — napisano w dyplomie honorowym — dodano do nagrody — której filmy w latach 1954 i 1955 spotykały się z najwyższym przyjęciem u publiczności i której działalność artystyczna przyczyniła się do rozświetlenia filmu włoskiego po całym świecie.“.

Bawiący w Moskwie i w Leninigradzie — Dr. Carlton Smith z Nowego Jorku, wybrał 400 obrazów malarzy radzieckich, które zamierza pokazać społeczeństwu amerykańskiemu. Jednocześnie duża kolekcja współczesnych malarzy amerykańskich wystawiona zostanie w Związku Radzieckim.

W drugiej pięciolatce czesłowski (od 1 stycznia 1955 r.), zasięg telewizji obejmie cały kraj.

Istnieje mydło, które rośnie i dojrzewa na drzewach. Drzewa te rosną w południowej Ameryce, mają szerokie, olbrzymie korony i białą korę, jak nasze brzozy. Błyszczące owoce tego drzewa są wielkości naszych czereśni. Gdy owoce te tubylcy zmieszają z wodą, otrzymują pienistą ciecz podobną do wody z rozpuszczonym mydłem. Ludność miejscowa używa tych owoców jak mydła. (B)

ODCINEK CZWARTY

Watt schował spektrogram do kieszeni i spojrzawszy na Daga Rossę — rzucił:

— Zdziwił się, wprost zaskoczony. Przy okazji porozmawiamy na ten temat. Odszedł i usiadł w fotelu, podciągając za sobą nogi.

Bara, która usiadła naprzeciw Bowskiego, spostrzegła, że oczy wszystkich z zainteresowaniem i niepokojem spoglądają to na inżyniera, to na profesora. Bowski założył nogę na nogę, młotosił w palcach papierosa i wyzywająco patrzył po twarzach obecnych. Bara, obserwując go, znów poczuła, że ogarnia ją zdenerwowanie.

Komunikat Ali Keera, który powtórzył wszystko, co Bara usłyszała wcześniej od Daga Rossy, zakończony zapowiedzią rozpoczęcia prób uchwycenia sygnałów radiowych, wywołał wprawdzie ożywioną dyskusję, ale nie usunął przygnębienia. Widać było, że zebrań nie podzielała nadziei kierownictwa, chociaż z zapałem omawiali szczegóły instalacji zapasowej anteny.

W pewnej chwili, gdy przygotowywano się już do wyjścia z rakiety, Bowski zbliżył się do Bary.

— Co powiecie o tego rodzaju „metodach” podtrzymywania ducha? — powiedział.

Bara wzruszyła ramionami i nie odpowiadała. Tego dnia zadanie dziewczyny polegało na obserwacji ze wzgórza nieba, sygnalizowaniu ewentualnego niebezpieczeństwa. Wpa trując się w lecące nisko chmury Bara przez cały czas myślała o inżynierze i o Bowskim. Dziś z rana optymizm Daga Rossy przekonał ją zupełnie, teraz jednak znów była bliższa pesymizmowi literata.

— Żeby wreszcie coś się stało — pomyślała zrezygnowana.

Godziny mijały powoli. Brak ożywienia przy stacji i cisza w słuchawkach świadczyły, że nic się nie dzieje. W pewnej chwili wydało się dziewczynie, że w obłokach pedającego kurzu zamajaczył jakiś kształt. Przyjrzała się uważnie. Gdyby znajdowała się na ziemi, pomyślałaby, że gdzieś w pobliżu chłopcy puszczają latawcę. Nieokreślone go koloru trójkątny twór z długim, falującym ogonem wisiał wprost nad głową. Poruszał się bardzo wolno pod wiatr, jakby uwiązany na napiętej linie. Ponieważ latawcę tę obserwowano niejednokrotnie, dziewczyna nie zaniepokoiła się wcale. Przyglądała mu się jednak z zaciekawieniem, gdyż wydawało się jej, że tym razem latawiec pojawił się bliżej niż zwykle. Ali Keer w swoim czasie wyraził przypuszczenie, że są to produkty wulkaniczne, które nie mogą się rozprószyć w gęstej, jak woda atmosfery planety. „Skąd jednak ten regularny kształt?”

Gdy tak pomyślała, wydało się jej, że przy połyskującej zimnym, rudawym światłem anteny, wszczął się ruch. Siedzący przy polowym odbiorniku Dag Rossa dawał jakieś znaki, a zaraz potem Iyo Eiro pobiegł w kierunku rakiety. Patrzała za bieżącym, gdy nagle posłyszła trzaski w słuchawkach, zagłuszające pojedyncze słowa Daga Rossy. Zdenerwowana sięgnęła ręką po gałkę, znajdującą się na przedniej tarczy hełmu, chcąc uregulować odbiór, lecz nie zdążyła tego dokonać, gdyż ujrzała tajemniczego latawcę unoszącego się tuż nad radiostacją. Zastygła przerażona, niezdolna wykonać najłżejszego ruchu, ani wydobyć głosu. Tajemniczy trójkąt, zniżający się na wysokość kilku metrów, rozrósł się do wielkości sporego domu. Po lśniącej, jakby wilgotnej powierzchni przebiegały skurcze, podobne do brzyzy na wodnej tafli. Zauważyła, że nie jest zupełnie płaski; niektóre jego partie świeciły dziwnym, zielonkawym światłem. Spojrzała niżej. Pracujący przy stacji ludzie biegli w rozsypanie. W tyle Daga Rossa podtrzymywał staniającą się Tinę, która ramionami osłaniała głowę.

— To moja wina, nie ostrzeżę cię — pomyślała Bara i nagle otrząsnawszy się z przerażenia, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co czyni, poczęła biec w kierunku inżyniera i przyjaciółki. Wiedziała tylko jedno, że mu się zdążyło z pomocą. Z prawej strony, gdzie stała raketa,

— To moja wina, nie ostrzeżę cię — pomyślała Bara i nagle otrząsnawszy się z przerażenia, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co czyni, poczęła biec w kierunku inżyniera i przyjaciółki. Wiedziała tylko jedno, że mu się zdążyło z pomocą. Z prawej strony, gdzie stała raketa,

Rakietę międzyplanetarną w czasie lądowania na globie Wenus uległa uszkodzeniu, będąc niezdolną do samodzielnego powrotu. Część naukowców nie przerwała jednak dociekań badawczych. Podróźnicy oczekują pomocy z Ziemi, którą powiadomiono o katastrofie drogą radiową. Groźna przyroda planety gotuje tymczasem różne niespodzianki. Ofiarą tzw. „latającego lasu” padł już jeden z członków ekspedycji. Ostatni „napad” tego nieznanego tworu przyrody odparto przy pomocy płomieni, wykonując równocześnie spektrogram palącego się napastnika. Członkowie wyprawy badawczej nie mają pewności — czy jest to materia ożywiona, czy też nie...



Rys. L. Kapczyński

slyszała suche, urywane trzaski, jakby ktoś zamykał hermetyczne drzwi komory wyjściowej. Chciała obejrzeć się w tym kierunku, lecz nagle coś czarnego runęło na nią. Upadła pomiędzy dwa kamienie i jakaś elastyczna gąbka przygniotła ją, jak pierzyna. Jednocześnie ciemność napłynęła na oczy.

Gdy po pewnym czasie wróciła do przytomności, poczuła, że coś zimnego i mokrego spoczywa na jej czole. Pomyślała, że hełm widocznie został uszkodzony, zdziwiła się jeno, że dotąd się nie udusiła. Pomyślała o powolnym konaniu, jakie ją czeka i postanowiła tyknąć dwutlenku węgla*, aby jak najszybciej skończyć z sobą. Oddechnęła więc głęboko parę razy, lecz nic się nie stało. W skroniach jedynie pulsowało, huczało w uszach i zdawało się, że ciężar na czole powoli się porusza. W zamroczonej świadomości roły się bezładne, okropne obrazy: wilgotne cielska wielorybów, o których niedawno opowiadał Iyo Eiro, lub długie, oświetlone pożarem odnogi latającego lasu opłatające w śmiertelnym uścisku Jaka Iwanowa, a potem ujrzała Dag Rossę i Tinę, których nie uprzedziła o niebezpieczeństwie. Nagle wydało jej się, że słyszy wypowiedziane ścisłym głosem własne imię i że głos ten należy do inżyniera. Drgnęła i otworzyła oczy.

Znajdowała się w ambulatorium. Doktor Immanuel Carim przytrzymał jej na czole zimny okład. Patrząc w ciemny otwór rękawa jego kitla, który pochylał się tuż przed jej oczyma.

— Ocknęła się! Patrzy — posłyszła radosne wołanie Tyny.

Po chwili siedziała już na koi i mrużąc oczy w silnym świetle spoglądała na zatrwonzone twarze przyjaciół.

— Żyjesz?! — wyszeptowała, uśmiechając się do przyjaciółki.

— A cóż innego ma robić — jowialnie zabrzmiał głos doktora, który widząc, że niebezpieczeństwo już minęło, wstał i usiłował ułożyć na brzegu stojącej na stole miski mokry ręcznik.

Później u siebie w kabine, leżąc wygodnie i popijając kawę z koniakiem, Bara słuchała opowiadania Tyny o przebiegu wypadku.

— Wyobraź sobie, że gdyby nie Eiro zostalibyśmy również przygnieci — mówiła Tina, siedząc w nogach Bary i usiłując ukryć wzruszenie. — To Eiro zastrzelił ten trójkąt. Poleciał do rakiety po sztucer mimo że właśnie odezwały się sygnały. Dag Rossa był wściekły na Eiro, że opuścił stanowisko.

Bara zrozumiała teraz, czym były trzaski, które słyszała biegnąc na ratunek i uśmiechnęła się przypominając sobie żarty nawigatora, który będąc zawołanym myśliwym, podczas długiej podróży niejednokrotnie zabawiał towarzyszy opowiadaniem wyimaginowanych przygód łowieckich na Wenus.

— To jednak Eiro udało się zapoLOWAĆ — przerwała Tina. Podeskcytowana Tina, nie odpowiadając na uwagę przyjaciółki, ciągnęła dalej:

— Teraz Keer, Watt i wszyscy badają potwora, śpieszą się, aby zdążyć przed nadejściem nocy...

— Co to jest? — przerwała Tina Bara. — Czy to żyje?

— Profesor twierdzi, że nie, Dag Rossa i wszyscy, że tak, ale moim zdaniem...

— Chodźmy — powiedziała Bara — musimy to zobaczyć.

— Nie wolno, doktor zabronił ci wstawać!

— Głupstwo! Czuję się świetnie — i nie zwracając uwagi na protesty przyjaciółki dziewczyna zaczęła wciągać kombinizon.

Pod przechyloną od wstrząsu anteną leżał bezkształtny, pagórkowaty twór, mniejszy jednak niż pierwotnie wydawało się. Mógł mieć najwyżej piętnaście metrów długości, nie licząc ogona. Mężczyźni pracowali w milczeniu, usiłując za pomocą pił, toporów i tasaków dokonać sekcji potwora. Od czasu do czasu Rigo Watt i Dag Rossa półgłosem wymieniali z sobą uwagi. Dziewczyna od razu spostrzegła, że to, co leży przed nią, nie przypomina w niczym znanych jej dotąd istot żyjących. Ostrza noży zagłębiały się w jakąś smolistą masę, drżąc jak galareta pod każdym dotknięciem.

W niektórych miejscach ciało potwora pokryte było zielonym szluzem, połyskującym złowrogo w rudawej poświacie dogasającego dnia. Na przedzie, w otworze przypominającym gigantyczną jamę ustną, widniały obrzmiałe zgrubienia, podobne do grzybów rosnących na drzewach. Poza tym w miejscu, gdzie zwykle mieszczą się organa powonienia i wzroku, lśniły czarne, jakby ebonitowe tarcze. Tarczami tymi szczególnie interesował się inżynier, oddzielając je nożem od tułowia i składając do blaszanej skrzynki po kliszach fotograficznych. Nie widać było krwi, ani śladów kości, jednakże na tkaninie kombinizonu, po dotknięciu świeżo rozciętych miejsc, pozostawały szybko czerniejące plamy.

— Mamy nareszcie coś, co przekona naszego profesora o tym, że przyroda posiada bujniejszą wyobraźnię od najbardziej przewidywanych logów — powiedział w pewnej chwili Dag Rossa, pochylając się w stronę Watt, parającego się z grzybowatą naroślą.

— Dwutlenek węgla występuje bardzo obficie w atmosferze Wenus.

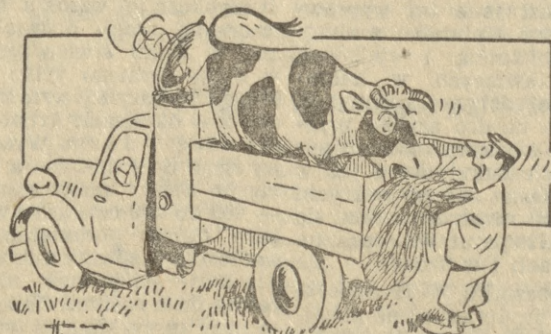
PROBLEM GAZU BIOLOGICZNEGO



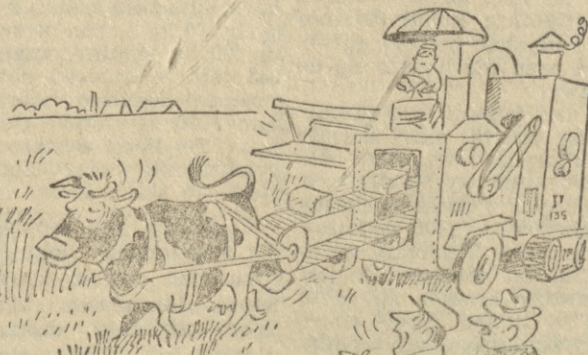
— Co za czasy! Wszystko sprzed dzioba sprzątają...

Kilka dni temu opublikowaliśmy wiadomość o próbie uruchomienia spółdzielczej gazowni — w oparciu o nawóz naturalny.

Oto problem ten w ujęciu Henryka Derwicha



— Żryj Krasulo!... Bo nam zabraknie paliwa...



— Co? Ona ciągnie kombajn?
— Nie... Uzupełnia paliwo...

HIKAJATY

OSOBLIWE MIEJSCE W USTNEJ AFGANISTAŃSKIEJ TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ ZAJMUJĄ BAJKI-MINIATURY — HIKAJATY. WYSMIEWAJĄ ONE I DEMASKUJĄ LUDZKIE WADY, POKAZUJĄ WIELKODUSZNOŚĆ I UCZCIWOŚĆ ORAZ POCZUCIE HUMORU PROSTYCH LUDZI.

WYKPIONY DYGNITARZ

Pewien człowiek otrzymał bardzo wysokie stanowisko. Jego przyjaciel dowiedziawszy się o tym, przyszedł go odwiedzić. Dygnitarz ujrawszy go, pogardliwie zapytał:

— Coś ty za jeden i po co przyszedłeś?

Gość uśmiechnął się gorzko i odpowiedział:

— Nie poznajesz mnie? Jestem twoim starym przyjacielem. Dowiedziałem się, że oślepiał i oto przyszedłem cię odwiedzić.

SKNERA

Siedział sknera w swoim domu i jadł chleb z miodem. Przyszedł do niego znajomy. Sknera bojąc się, by nie poczęstować gościa, schował chleb, ale miodu nie zdążył.

— No, trudno — pomyślał. — Samemu miodu nie będzie przecież jada.

Tak pomyślawszy, podsunął sknera gościowi miód i proponuje:

— Może spróbujesz miodku?

— Owszem, chętnie zjem! — odpowiedział ucieszony gość i zaczął zjadać aż mu się uszy trzęsły.

Sknera długo cierpiał w milczeniu. Wreszcie nie wytrzymał i rzekł:

— Nie jadłbyś tak dużo miodu, bo serce będzie bolało.

Gość się uśmiechnął i zapytał:

— Czyje? Twoje?

DWAJ PRÓZNIACY

Żyli kiedyś na świecie dwaj próżniacy. Byli tak wielkimi leniuchami, że choćby świat się palił — i to by ich nie poruszyło. Jeden z mędrców postanowił ich rozruszać i nauczyć rozumu. Podpalili więc swiran (chatę) jednego z próżniaków.

Kiedy swiran zaczął płonąć, zrobiło się bardzo gorąco, wówczas jeden z próżniaków słabym głosem szepnął:

— Gore-e-e!

Drugi próżniak przewróciłszy się na drugi bok cicho poprosił pierwszego:

— Sąsiedzie, bądź łaskaw krzyknąć i za mnie!

CIEKAWY SĄSIAD

Pewien człowiek pisał list do przyjaciela. Siedzący obok niego mężczyzna, zaglądał mu przez ramię i czytał, co ten pisze.

Rozgniewało to piszącego i napisał w swoim liście:

— Daruj, drogi przyjacielu, dalej pisać nie mogę. Siedzi obok mnie jakiś niedelikatny człowiek i podpatruje, co piszę do ciebie.

— Ty jesteś niedelikatny — to nam skrzywdzonego odpowiedział mężczyzna piszącemu list. — Nikt cię nie podgląda.

Przełożył z rosyjskiego:
Fr. Swarzyca

ANDRZEJ NAPIERAŁA

FRASZKI

LOS KARIEROWICZA

Napuszysz się, nadmie
I znów jest na dnie.

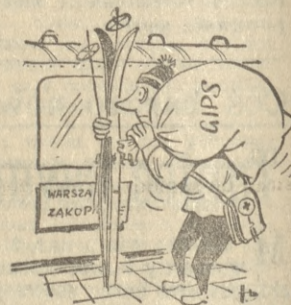
BIEDACZEK

O mojej postawie
Mówią wtedy
Gdy postawię

PIGUŁKI

Gdy nie ma nic lepszego do roboty — to ostatecznie można się ożenić.

Księżyc można porównać do miłości — przybywa go, lub ubywa — lecz nigdy nie stoi w jednej postaci i w jednym miejscu.



— Żeby gaz nie uciekł...



— Paliwo w płynie czy w naturze???



— Widział! Nałkował się gazem...